

KSIĘGA SNÓW

NINA GEORGE

NOWA POWIEŚĆ
AUTORKI
BESTSELLERA

Lawendowy potój



N I N A G E O R G E

KSIEGA
SNÓW

TŁUMACZENIE MATEUSZ BOROWSKI



OTWARTE

KRAKÓW 2017

Tytuł oryginału: *Das Traumbuch*

Copyright © 2016 by Nina George, originally published by Knauer Verlag

Copyright © for the translation by Mateusz Borowski

Opieka redakcyjna: Olga Orzeł-Wargskog

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: Wydawnictwo PLUS

Projekt okładki: Eliza Luty

Grafika na okładce na podstawie zdjęcia z Getty Images:

© LT Photo / Moment / Getty Images

Fotografia autorki: © Maurice Kohl

ISBN 978-83-7515-405-4



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Książkę tę dedykuję mojej matce Jutcie Marianne George,
od czterdziestu ośmiu lat zwanej Juschiką.
Szeroki Joe też Cię kocha. Jesteś wspaniałą kobietą,
genialną malarką i moją przyjaciółką.
Otworzyłaś przede mną drzwi wyobraźni.*

*Mamo, dzielimy wspólne życie.
Wznieśmy toast za naszych ojców, za Paryż
i za świat istniejący na obrzeżach rzeczywistości.*

Nina George, grudzień 2015

*Może wszyscy jesteśmy tylko historiami,
które właśnie ktoś czyta.*

DZIEŃ 1

HENRI

Skaczę.

Spadam zaledwie kilka sekund, słyszę jeszcze w górze silniki samochodów na moście Hammersmith, godzina szczytu, w powietrzu zapachy miasta, wypłowiła wiosna, rosa na liściach. Uderzam głową o taflę zimnej wody. Płynę coraz szybciej z prądem odpływu. Oddalone o pięćdziesiąt kilometrów morze wysysa rzekę. Moje ciało jeszcze pamięta ogromną siłę fal, jakbym całe życie spędził nad oceanem, choć tak naprawdę ostatni raz pływałem w Atlantyku dwadzieścia pięć lat temu.

Zbliżam się do dziewczynki.

Rzeka ją unosi, próbuje ją zagarnąć, chce rozczłonkować jej ciało, zabrać nadzieję i zostawić tylko strach, wyrwać śmiech z jej ust i unieważnić przyszłość. Dziecko tonie w mulistej wodzie.

Nurkuje, wyciągam ją za włosy na powierzchnię. Udaje mi się złapać szczupłą, śliskie ramię. Ściskam je mocniej, ze zmęczenia ciężko dyszę, łykam słońawą, lodowatą wodę.

Tamiza mnie obejmuje.

Ukazuje mi się twarz. Patrzą na mnie oczy jasne jak morze zimą. Jedną dłonią uciska nos, tak jakby przed chwilą wskoczyła do basenu z letnią chlorowaną wodą. Wypadła do Tamizy ze statku wycieczkowego, który kursuje między Greenwich a London Eye, ogromnym diabelskim młynem stojącym niedaleko Big Bena. Dziewczynka stała na poręczy, wspięła się na drugi szczebel i wystawiła twarz do majowego słońca. Fala gwałtownie zakołysała statkiem. Mała nawet nie krzyknęła. Jej twarz wyrażała jedynie bezgraniczne zdumienie.

Widzieliśmy, jak wpada do wody. Ja, para całująca się na moście Hammersmith i żebrak w sfatygowanym smokingu, który wstał ze swojego „stanowiska pracy”, czyli kartonowego pudła w plamie słońca pod zieloną balustradą wiszącego mostu.

– O Boże – wyszeptał.

Para spojrzała na mnie. Cała trójka zamarła, spoglądając w moim kierunku.

Przeszedłem przez zieloną balustradę z kutego żelaza i przez chwilę czekałem, aż w dole wyłoni się z wody dziewczynka. Z tej wysokości wyglądała jak małe zawiniątko.

Skoczyłem.

Dziecko patrzy teraz na mnie z ufnością i nadzieją, na którą nie zasłużył ktoś taki jak ja. Dlaczego trafiło akurat na mnie?

Z trudem utrzymuję śliskie, szczupłe ciało. Dziecko kopie mnie w głowę, w usta.

Piję wodę, oddycham wodą.

Ale mimo to robię się lekki, unoszę się na powierzchni, a świat znowu rozbrzmiewa tysiącem odgłosów, majowy wiatr delikatnie muska moją mokrą twarz, spienione fale zalewają mi oczy. Odwracam się na plecy i unosząc się na niespokojnych wodach Tamizy, kładę sobie dziewczynkę na klatce piersiowej, żeby mogła oddychać i widziała niebieskie niebo.

Porywa nas prąd rzeki, mijamy ceglane fasady i drewniane łodzie przy mulistym nadbrzeżu.

Dziewczynka z trudem łapie powietrze, krztusi się. Ma cztery lata, może pięć, nie umiem postępować z dziećmi, nawet z moim synem. Samuelem. Samem.

Ma trzynaście lat i czeka na mnie.

Czeka na mnie od zawsze. A mnie nie ma.

Zaczynam nucić *La Mer*, wielką, podniosłą pieśń wychwalającą piękno morza, przypominają mi się urywki francuskiego tekstu, choć nie posługuję się swoim ojczystym językiem od osiemnastego roku życia. Teraz do mnie wraca.

Śpiewając, wyczuwam, jak serce dziewczynki bije coraz spokojniej, jak miarowo pracują jej małe płuca, przez warstwę wody i strachu czuję jej zaufanie. Trzymam ją jedną ręką, a drugą zagarniam wodę, zbliżając się do niewielkiej przystani. Moje ubranie zrobiło się ciężkie. Poruszam nogami jak żaba i wiosłuję jednym ramieniem.

– Wszystko będzie dobrze – szepczę.

W głowie słyszę oczywiście cichy głos Eddie:

– Henri, nie potrafisz kłamać. To jedna z twoich najmocniejszych stron.

Eddie to najwspanialsza osoba, z którą się rozminąłem.

Uderzam ramieniem o boję unoszącą się przy przystani. Tuż obok widzę drabinkę.

Chwytam dziewczynkę w talii i unoszę ją.

Popycham w górę jej stópki, jeszcze wyżej, dziecko wreszcie chwyta szczebel i mogę je puścić.

Potem idę za nią, wychodzę z rzeki i biorę na ręce wyczerpane dziecko, które z całych sił powstrzymuje się od łez, i idę z nim wzdłuż domków z fasadami z żółtej, czerwonej i szarej cegły w stronę mostu Hammersmith. Dziewczynka obejmuje mnie za szyję i wtula twarz w moje ramię. Jest bardzo lekka, ale kiedy biegnę, coraz trudniej mi ją utrzymać. Myślę tylko

o tym, że powinienem czym prędzej wracać do Sama. Muszę do niego jechać. Muszę. Syn czeka na mnie w szkole.

Para wciąż stoi na moście i się obejmuje. Kobieta przygląda mi się ogromnymi oczami, lśnącymi tak, jakby trochę już dziś wypła. Z grubymi kreskami wokół oczu i wysoko upiętymi, natapirowanymi włosami przypomina nieco Amy Winehouse. Mężczyzna powtarza tylko:

– Coś takiego, stary, coś takiego, naprawdę ją uratowałeś, coś takiego.

Podnosi do góry telefon.

– Zająłeś się filmowaniem? Nie przyszło ci do głowy, żeby zadzwonić po pomoc? – warczę na niego.

Stawiam dziewczynkę na ziemi. Nie chce mnie puścić, trzyma mnie za szyję, jej rączki ściskają moje mokre, śliskie włosy.

Nagle robi mi się słabo i tracę równowagę. Nie mogę ustać w miejscu i wytaczam się na ulicę.

Dziewczynka krzyczy.

Coś wielkiego i ciepłego wciska się w moje ramię. Za szybą widzę wykrzywioną twarz. W słońcu połyskuje czarna maska samochodu, który z impetem uderzył w dolną część mojego ciała.

A potem widzę tylko swój własny cień, kiedy moje ciało osuwa się na asfalt. Rozlega się trzask przypominający odgłos rozbijania skorupki jajka o brzeg porcelanowej filiżanki.

Ból głowy narasta, zamienia się w dotkliwe, ostre rwanie, jakbym za szybko zjadł ogromną porcję lodów.

I nagle cisza. Zaczynam się zapadać, wtapiać w podłoże. Tonę coraz głębiej i szybciej, jakby pod asfaltem znajdowało się czarne jezioro.

Z mrocznej głębinie coś mnie obserwuje, jakby już na mnie czekało. Nade mną niebo. Oddala się ode mnie, jest coraz wyżej i wyżej.

Widzę nad sobą twarz dziewczynki i jej dziwnie znajome oczy w kolorze zimowego morza, które patrzą na mnie tak smutno, kiedy tonę w asfalcie. W jej dziecięcych oczach morze łączy się z jeziorem. Potem ja łączę się z jeziorem, wypełnia mnie woda.

Na brzegu zgromadził się tłum, zasłania mi widok na niebo.

W głowie słyszę ich myśli.

Kobieta z mini coopera chciała mnie wyminąć.

Światło. Światło ją oślepiło, dlatego mnie nie zauważyła.

Myślałam, że to pijak, który wytoczył się na ulicę.

Żyje?

Rozpoznaję żebraka w wyświeconym smokingu, który odpycha pozostałych i znowu przez ułamek sekundy widzę nieukończone piękne niebo.

Zamykam oczy. Odpocznę chwilkę, a potem wstanę i pójdę, może zdążę. Zjawię się akurat wtedy, kiedy zaczną wyczytywać nazwiska, nasza kolej będzie dopiero przy V, Sam i ja, razem spędzimy Dzień Ojca i Syna. V jak Valentiner, nazwisko jego matki...

Kochany Tato,

nie znamy się, ale moim zdaniem to się powinno zmienić. Jeśli też tak uważasz, przyjdź 18 maja, w Dzień Ojca i Syna, do Colet Court. To szkoła należąca do Saint Paul's w Barnes, tuż nad brzegiem Tamizy. Będę na Ciebie czekał przy wejściu.

Samuel Noam Valentiner

Sam, zaraz do ciebie przyjdę. Muszę tylko chwilkę odpocząć.

Ktoś otwiera mi oczy. Brzeg jeziora jest daleko, bardzo daleko. Jakiś człowiek krzyczy do mnie z wysoka, jakby stał na krawędzi głębokiego leja. Ma na sobie kombinezon sanitariusza i okulary przeciwsłoneczne w złotej oprawce.

Pachnie dymem papierosowym.

Widzę swoje odbicie w szklach jego okularów i swoje puste, szkliste oczy.

Słyszę myśli sanitariusza stojącego tam, w górze.

Nie, człowieku. Nie umieraj. Błagam. Nie umieraj.

Długi, jasny ton jak kreska znacząca koniec mojego życia.

Jeszcze nie!

Jeszcze nie! Za wcześnie!

Jeszcze jest...

Jeszcze.

Długi ton zamienia się w ostatni gong.

Skaczę.

DZIEŃ 15

SAM

14.35. Samuel Noam Valentiner.

Odwiedzany pacjent: Henri M. Skinner.

Po raz czternasty wpisuję się do rejestru. Robię to codziennie i każdego dnia pani Walker na czarnej podkładce podsuwa mi formularz, do którego drukowanymi literami wpisuję godzinę oraz nazwisko moje i odwiedzanego pacjenta.

Linijkę wyżej widnieje wpis: Ed Tomlin. Ktoś odwiedził mojego ojca kilka godzin wcześniej, kiedy byłem w szkole. Kto to jest?

– Byłem tu wczoraj – przypominam pani Walker, recepcjonistce w szpitalu imienia Wellingtona.

– Och, wiem, kochanie.

Kłamie. Znowu mnie nie rozpoznała. Kiedy ludzie mówią nieprawdę, zmienia im się głos, robi się jaśniejszy niż zazwyczaj. Na plakietce nad jej lewą piersią widnieje nazwisko zapisane drukowanymi literami: SHEILA WALKER. Mówi do mnie „kochanie”, bo mnie nie poznaje. Tacy są Anglicy, boją się mówić prawdę bez ogródek, uważają to za nieeleganckie.

Nad życiem Sheili Walker od wielu lat wiszą czarne chmury. Dostrzegam to u większości ludzi. Nad niektórymi kłębi się mniej ciemnych obłoków, nad innymi więcej, a nad dziećmi prawie w ogóle, chyba że pochodzą z takich krajów jak Syria albo Afganistan. Wtedy chmury już ich nie opuszczają.

Pani Walker jest smutna przez całe życie. Przegapia terazniejszość, bo rozpamiętuje przeszłość. Dlatego jestem dla niej tylko jakimś chłopcem w szkolnym mundurku, z okropną mutacją. Przygląda mi się i widzi pewnie plażę albo swoje własne, puste ręce, których nikt już nie trzyma.

Byłem tu wczoraj i przedwczoraj. I trzy dni temu. Przycho-dzę tu od dwóch tygodni. Uciekam z lekcji, czasem przed po-łudniem, czasem po południu, dziś z francuskiego z madame Lupion. Scott twierdzi, że najlepiej opuszczać po godzinie z każdego przedmiotu, żeby nauczyciele się nie zorientowali.

Scott McMillan to specjalista w każdej dziedzinie. W wa-garowaniu, w surfowaniu po internecie, w robieniu tego, czego nikt inny nie robi. A poza tym nie ma nikogo, kto do-równałby mu w szachach, rysowaniu i zbieraniu nagan. Ma trzynaście lat, iloraz inteligencji 152, potrafi sfałszować każde pismo, a jego obrzydliwie bogaty ojciec go nienawidzi. Ja mam iloraz inteligencji 148, czyli różnimy się od siebie tak jak „geniusz” od „prawie geniusza”. Scott ujmuje to trochę in-aczey, kiedy mawia: „*Moi* – mózgowiec, i *toi* – szeregowy mą-drala, *mon ami*”. Mózgowiec Scott przechodzi właśnie fazę fascynacji językiem francuskim, od kiedy przestał się inte-resować językiem mandaryńskim i afrykańskim dialektem o gardłowym brzmieniu.

Ja też mam trzynaście lat, jestem synestetykiem, przez wielu chłopców z naszej szkoły nazywanym synidiotą, i mam ojca, który od dwóch tygodni jest w śpiączce farmakologicznej. To rodzaj długiej narkozy, podczas której w mózgu

umieszcza się dren zmniejszający ciśnienie. Podłączono go do maszyn, które za niego oddychają, schładzają jego krew, podają mu pokarm i załatwiają za niego potrzeby fizjologiczne. Dziś powinien się obudzić.

W szkole nikt poza Scottem nie wie, że mój tata zapadł w śpiączkę. I tylko mojemu przyjacielowi przyznałem się, że Steve, mąż mojej mamy, nie jest moim prawdziwym ojcem.

– Stary, od razu stałbyś się najbardziej interesującym gościem w naszej szkole, przynajmniej na jeden cudowny tydzień – powiedział mi kiedyś Scott. – Zastanów się, czy naprawdę chcesz z tego zrezygnować. To wspaniałe uczucie, kiedy cała szkoła się tobą interesuje. Dziewczyny będą z tobą szaleć.

Tylko że do naszej szkoły nie chodzą dziewczyny.

Z wszystkich trzynastolatków w Colet Court tylko ja i Scott zostaliśmy przyjęci do Mensy. Scott nazywa to stowarzyszenie osób o wysokim ilorazie inteligencji „Klubem Półgłówków”. Mama twierdzi, że mogę być z siebie dumny, bo jestem jednym z dwóch nieletnich wśród dziewięciuset „juniorów Mensy” w Anglii, ale być dumnym na zawołanie to jak żuć folię aluminiową.

Gdyby wiedziała, że tu przyszedłem...

Oddałyby mnie do adopcji.

Może przestanie się do mnie odzywać. Albo wyśle mnie do szkoły z internatem. Nie wiem.

– Dziękuję, kochanie.

Sheila Walker mówi już normalnym głosem, kiedy przysuwa do siebie po blacie podkładkę z rejestrem odwiedzających i wpisuje moje nazwisko do komputera. Kiedy jej długie paznokcie uderzają o klawiaturę, rozlega się radosny, zielony stukot.

– Drugie piętro, Samuelu Noamie Valentinerze – mówi, choć przecież to akurat wiem.

Tam mieści się oddział intensywnej terapii, gdzie pacjenci leżą w absolutnej ciszy i samotności. Po to tu przybywają. Do szpitala Wellingtona. Na oddział neurologii. London Brain Centre. Odpowiednik NASA w dziedzinie neurochirurgii.

Tak jak wczoraj i przedwczoraj Sheila Walker podaje mi mapkę szpitala w formacie A4. Czerwonym długopisem zaznacza, gdzie jesteśmy teraz i dokąd muszę dojść oraz jak najszybciej tam dotrzeć.

– Najlepiej wsiądź do windy i wyjedź na drugie piętro, Samuelu.

Pani Walker mogłaby równie dobrze pracować w okienku informacji w metrze. „Do Kensington w prawo, perforacja jest naprzeciwko, kostnica na lewo za automatem do napojów. Życzę miłego dnia, panie Samuelu Noamie Valentinerze”.

– Nawzajem, proszę pani – odpowiadam, ale ona już o mnie zapomniała.

Pierwszego dnia przysłała ze mną mama. Kiedy czekaliśmy na windę, powiedziała:

– Nie jesteśmy nic winni twojemu ojcu, rozumiesz? Nic. Przyjechaliśmy tu tylko dlatego, że...

– Rozumiem – przerwałem jej. – Nie chcesz go oglądać. Obiecałaś to sobie.

– Naprawdę? – zapytała po chwili z irytacją. – Jak to możliwe, że wszystko zawsze rozumiesz, Sam? Jesteś jeszcze za mały! – Podała mi mapkę. – Przepraszam. Twój ojciec doprowadzi mnie kiedyś do obłędu. Ach, Sam...

Nie podobało jej się już to, że w tajemnicy zaprosiłem go na Dzień Ojca i Syna do Colet Court.

– I tak nie przyjdzie – zawyrokowała.

Jej głos mnie otulił, każda głoska pachniała wilgotnym smutkiem, jak rozmaryn na deszczu. Czułem, jak bardzo mnie w tej chwili kocha, rozpoznałem to po tym, że nagle mój oddech stał się zupełnie swobodny, jakbym stanął na

szczycie świata. Zniknęła gdzieś gula, którą zawsze czułem w gardle.

Czasem tak bardzo kocham moją mamę, że chciałbym umrzeć, żeby ona mogła nareszcie być szczęśliwa. Wtedy miałyby tylko Steve'a i mojego małego brata Malcolma. Stworzyliby normalną rodzinę. Ojciec, matka i dziecko, a nie ojciec, matka, dziecko i ja, chłopak, który unika wzroku innych, czyta za dużo powieści fantastycznonaukowych, a jego ojcem jest mężczyzna, którego moja mama nie znosi.

– Poczekaj na mnie w kawiarni, pójdę do niego sam i zostanę z nim tak długo, jak będę chciał – proponuję.

Przytuliła mnie. Czułem, że najchętniej przystałaby na moją propozycję i bardzo się tego wstydzi.

Mama nie zawsze taka była. Kiedyś pracowała jako korespondentka wojenna. Wtedy nie bała się nikogo i niczego. Ale potem przydarzył jej się wypadek: urodziła mnie i wszystko się zmieniło. Teraz próbuje przejść przez życie niezauważona. Jakby chciała odwrócić od siebie uwagę złych mocy.

– Proszę. Mam prawie czternaście lat. Już nie jestem dzieckiem, *maman*.

Mama idzie do kawiarni, a ja jadę sam na drugie piętro w odwiedzinę do mężczyzny, który jest moim ojcem, bo mama przespała się z nim raz, w „chwili słabości”. Tak przynajmniej o tym mówi. Nigdy mi nie opowiedziała, gdzie i jak do tego doszło.

Sheila Walker nie patrzy już na mnie, kiedy idę do windy i jadę na drugie piętro. Najpierw muszę włożyć kitel na szkolną marynarkę, zdezynfekować dłonie i przedramiona i zakryć usta i nos owalną maseczką.

Sala intensywnej terapii na oddziale neurologicznym wygląda jak duży, jasno oświetlony magazyn. Wzdłuż trzech długich ścian oznaczonych literami A, B i C stoją łóżka, a do sufitu przymocowane są listwy na niebieskie zasłony, które otaczają

każde stanowisko, oddzielając je od pozostałych. Pośrodku pomieszczenia na podeście stoją biurka z monitorami komputerowymi i stoliki z regulacją wysokości, przy których siedzą lekarze i lekarki, wpatrując się w ekrany albo telefonując. Każdym pacjentem zajmuje się jeden pielęgniarz albo pielęgniarka. Wszyscy pacjenci zamiast nazwisk są oznaczeni literami i numerami, jak w obozie koncentracyjnym. „A3 spadek poziomu glukozy”, „B9 reaguje”. Tu nikt nie żyje naprawdę.

Mój ojciec to C7. On też żyje na niby.

Pierwszego dnia miał głowę ogoloną po prawej stronie i pomarańczowo-czerwoną od jodyny. Za pomocą szerokich białych plastrów miał przymocowaną rurkę od respiratora, a jego skóra była biała, zielona i fioletowa. Barwy nocy, siły i snu. Kiedy po raz pierwszy wszedłem do tej sali, czułem się tak, jakbym połknął kulę z mokrego cementu, który z każdym oddechem twardniał w moim żołądku. Od tej pory noszę w sobie tę betonową kulę.

Wspominałem, że jestem synidiotą? Odbieram rzeczywistość nietypowo. Dostrzegam barwy dźwięków, głosów i muzyki. Londyńskie metro brzmi szaro, jak torba przy siodle pełna noży. Głos mojej mamy jest fioletowy i miękki jak lekka mgiełka nad zamarzniętym jeziorem. Mój głos na razie w ogóle nie brzmi. Kiedy się boję, nabiera ostrej jasnożółtej barwy. Przechodzę mutację, dlatego na razie próbuję jak najrzadziej się odzywać.

Ludzie, którzy znają swoją wartość, mówią głębokim, ciemnozielonym głosem, spokojnym jak stary, mądry las.

Liczby też mają kolory. Ósemka jest zielona, czwórka żółta, a piątka niebieska. Litery to typy osobowości. R jest agresywne, S złośliwe, a K to utajony rasista. Z zawsze służy pomocą, a F to diwa. G jest silne i uczciwe.

Kiedy wchodzę do jakiegoś pomieszczenia, natychmiast wyczuwam w powietrzu emocje. Cienie tak gęste jak te wiszące

nad panią Walker świadczą o tym, że człowiekowi wiele ciąży na sercu. Nie potrafię patrzeć ludziom prosto w oczy. Rzadko ich rozumiem, choć dostrzegam tak wiele. Czasem obawiam się, że zgadnę, kiedy umrą. Zdarzyło mi się już przepowiedzieć śmierć woźnego z Colet Court i naszej sąsiadki, pani Logan.

Dawniej uważano synestezję za schorzenie. Chorobliwie nieśmiałe i nadwrażliwe dziecko stanowiło dla rodziny nie lada kłopot. Cały czas krzyczy, jest płaczkliwe i przysparza rodzicom samych problemów. Kiedy dorasta, często ma zaburzenia osobowości, choruje na schizofrenię, wpada w depresję, a czasem popełnia samobójstwo, bo rzeczywistość za bardzo je przytłacza. Synestetycy to nadwrażliwi mazgaje.

Gdyby istniała pigułka lecząca tę przypadłość, połknąłbym ją natychmiast jak najlepszy cukierek.

Gdy pierwszego dnia kroczyłem przez salę żywych umarłych, wydawało mi się, że niektórzy z nich powoli tracą kolor, bo ich dusze krwawią. Wolę nie oglądać takich widoków.

A potem spojrzałem na mężczyznę leżącego na łóżku C7 i nie czułem nic.

To było dziwne.

Zawsze coś czuję.

Ale nie tym razem: nieznajomy leżał nieruchomo na plecach na aluminiowym łóżku. Wokół niego zebrały się gęste cienie. Barwy księżyca. Miał zamknięte oczy, więc nie mogłem zajrzeć do jego wnętrza.

To podziałało na mnie kojąco. Mój niepokój zniknął. Ostrożnie przysiadłem na krawędzi łóżka.

Wciąż nic.

Ulżyło mi. Jeśli nic nie czułem, to mogłem przestać tęsknić za ojcem, stale o nim myśleć i wszędzie go szukać. Gdybym już tu nie wrócił, mama odnalazłaby spokój.

Ale wtedy coś zobaczyłem. Jego bransoletkę filofun.

I wszystko się zmieniło.

Ojciec miał na nadgarstku prawej ręki plecionkę z granatowej, niebieskiej i pomarańczowej żyłki.

To ja ją zrobiłem dwa lata wcześniej i wysłałem mu pocztą w prezencie. Mama twierdziła, że tata tego nie założy, tylko wyrzuci do śmieci. Jak zawsze jej uwierzyłem, choć miałem nadzieję, że stanie się inaczej. Ostatecznie uznałem, że ojciec jest taki, jakim opisywała go mama. Oschły, zapatrzony w siebie, nieodpowiedzialny.

Ale założył bransoletkę. Nosił głupią, dziecinną ozdobę w moich ulubionych barwach nocy, morza i słońca o poranku.

Nie rozstawał się z nią.

Nie wiem, jak długo siedziałem, gapiąc się na plastikową plecionkę za trzy pensy. Pamiętam tylko, że w pewnej chwili podszedł do mnie kierujący oddziałem doktor Foss – „Możesz mówić do mnie Fossy, mój chłopcze!” – delikatnie położył dłoń na moim ramieniu i nosowym głosem poinformował, że mój ojciec miał duże szczęście. Pomimo pęknięcia czaszki obrzęk nie wpłynął negatywnie na pracę mózgu, a kora mózgowa nie została uszkodzona.

Przypadkiem przechodził tamtędy Bóg.

– Valentiner – ostrzegł mnie. – Nie wierz doktorowi Fossowi. Musimy jeszcze kilka razy zoperować twojego ojca i dopiero wtedy się okaże, ile spartoliliśmy.

Bóg to doktor John Saul. Wygląda jak wiking. Ma blond włosy, ramiona szerokie jak wioślarz i brodę. To szef NASA, czyli London Brain Centre. Kiedy wchodzi na salę intensywnej terapii żywych umarłych, wszyscy pielęgniarze i pielęgniarki wstrzymują oddech. Srebrzysty chłód otacza go jak niewidzialny płaszcz. W jego obecności wszyscy czekają na cud. Potajemnie nazywają go Bogiem, bo wie wszystko. Nawet to, że nazywają go Bogiem. A jego Duch Święty to doktor Foss, uczesany jak John Cleese, w zielonych sztruksach

na szelkach, skarpetkach w kolorze curry i fioletowej koszuli w drobną kratkę. Po południu zawsze przez pół godziny pije herbatę, grając w Quizwanie na telefonie komórkowym oprawionym w etui w szkocką kratę.

Wieczorem po pierwszej wizycie w szpitalu czatowałem ze Scottem na Skypie, kiedy mama i Steve cicho uprawiali seks. Malcolm bał się koszmarów, dlatego chciał koniecznie spać u mnie. Kiedy zasnął, wyglądał tak, jakby jego dusza wspinała się w ciemności po bardzo wysokich kamiennych schodach. Słyszałem jej kroki. Ale inaczej niż w przypadku taty, dusza Malcolma pozostawała blisko, wyczuwałem ją tuż pod powierzchnią jego ciała. Opowiedziałem Scottowi o tym, że tata jest daleko. Scott siedział na sedesie. W willi McMillanów znajduje się więcej ubikacji niż pokoi w naszym domu. Mieszkamy w Putney, a Scott w Westminsterze. Putney to Swatch. Westminster to Rolex.

Wpisaliśmy do wyszukiwarki hasła „urazowe uszkodzenie mózgu”, „śpiączka farmakologiczna” i „kora mózgowa”. A raczej to Scott wpisał, a ja wpatrywałem się w ciemność i słuchałem odgłosów jego klawiatury i głębokich oddechów Malcolma. Przypomniałem sobie plastikową bransoletkę i to dziwne uczucie, kiedy nie mogłem wyczuć mojego ojca pod grubą warstwą piany ze środków nasennych.

– Coś takiego. Michael Schumacher też miał urazowe uszkodzenie mózgu i wprowadzono go w śpiączkę farmakologiczną – poinformował mnie Scott. – Jeśli się nie umiera od razu, to...

– Zamknij się.

Wydawało mi się, że jeśli on nie powie tego na głos, to najgorsze się nie wydarzy. Nie chciałem, żeby do tego doszło. Jeszcze nie. Nie w taki sposób.

– To oczywiste, że nie chcesz tego słuchać. Ale powinienes. A może wolisz, żeby cię okłamywano? Zawsze nas okłamują,

najpierw dlatego, że jesteśmy dziećmi, a potem dlatego, że już nimi nie jesteśmy. – Scott westchnął ciężko. – A więc posłuchaj, co ma do powiedzenia prawdziwy geniusz. Kora mózgowa przechowuje osobowość. Gdyby ci ją wycięto, zamieniłbyś się w warzywo. Albo nie potrafiłbyś kontrolować agresji. Możliwe, że twój ojciec po wybudzeniu wpadnie w szał. Albo popełni samobójstwo. Albo ciebie zabije. Albo będzie mu się wydawało, że jest kimś zupełnie innym. Niektórzy po przebudzeniu nabywają nagle pewnych umiejętności.

– Umiejętności?

– No tak, widzą aurę, mówią po tybetańsku albo słyszą myśli.

Nie powiedziałem mu, że posiadam dwie z tych umiejętności. On wpisał kolejne hasło do wyszukiwarki.

– Aha. Musisz wziąć go za rękę – powiedział cicho. – Jeśli ją uściśniesz, to znaczy, że jeszcze nie zniknął.

Malcolm westchnął przez sen i przewrócił się na drugi bok. Czułem go bardzo wyraźnie, choć spał i coś mu się śniło. Ale mój ojciec... on przebywał w miejscu odległym od snów.

– A niby czemu miałby zniknąć? – zapytałem Scotta.

– Ale odjazd – wymamrotał w odpowiedzi. – Właśnie czytam wpisy na forum grupy wsparcia. Niektórzy twierdzą, że w śpiączce spotkali Boga i nie tylko.

– I nie tylko? A kogo jeszcze? Elvisa?

Zaśmialiśmy się. W ubikacji Scotta zgasło światło.

– O, cholera. Mój stary! – wyszeptał i się rozłączył.

Siedziałem w ciemności przy biurku.

Jak uściśnię dłoń, to znaczy, że nie zniknął.

Tak bardzo chciałem sprawdzić, czy ojciec jeszcze żyje.

Kiedy mama skończyła uprawiać seks ze swoim mężem, jak co wieczór poszła do pokoju Malcolma, żeby mu życzyć dobrej nocy. Nie zastała go tam, zapukała do moich drzwi, zaniósła mego śpiącego brata do jego łóżka i wróciła do mego pokoju.

– Sam, nie podpiszę bezterminowego pozwolenia na twoje wizyty u ojca. Nie chcę, żebyś przesiadywał w szpitalu. Masz się skoncentrować na egzaminach, słyszysz? To teraz najważniejsze. Jeśli za kilka tygodni będziesz go chciał odwiedzić, wtedy o tym pogadamy.

Mama płaci rocznie prawie dziewiętnaście tysięcy funtów chesnego w szkole Colet Court. To przeze mnie brakuje jej pieniędzy i jest nieszczęśliwa. Ale ja myślałem tylko o plectionej bransoletce.

– Okej – odparłem.

– Ojciec nigdy się o ciebie nie troszczył. Nie masz obowiązku się nim teraz opiekować. Może postępuję bezwzględnie, Sam, ale robię to, by cię chronić, rozumiesz? W przeciwnym razie spotka cię pasmo rozczarowań.

– Okej – powtarzam.

Niby co miałem odpowiedzieć? Nareszcie się dowiedziałem, gdzie jest mój ojciec. Na łóżku C7. Zobaczyłem, że nosi bransoletkę, którą dostał ode mnie. Mama się co do niego pomyliła.

A może to ja się co do niego pomyliłem?

W każdym razie wiedziałem, że muszę tam jeszcze raz pójść. Wziąć go za rękę, żeby mógł ucisnąć moją dłoń.

Nie powiedziałem jej o tym. Po raz pierwszy w życiu zataiłem przed mamą coś ważnego.

Musiałem jeszcze raz go odwiedzić.

Dwa dni później Scott przyniósł mi do szkoły teczkę pełną wydrukowanych z internetu artykułów na temat uszkodzeń mózgu.

– Po wybudzeniu ze śpiączki prawie każdy majaczy – wyjaśnił mi w czasie dużej przerwy.

Nie spędzaliśmy jej na stołówce, tylko za aulą, na dobrze utrzymanym boisku do hokeja na trawie należącym do liceum

Saint Paul's. Dostalibyśmy się do niego, gdyby udało nam się dobrze zdać egzaminy. Wszyscy wychowankowie tej szkoły robili karierę, przynajmniej tak twierdziły ich matki. Uczniowie już w wieku szesnastu lat wiedzieli, co chcą studiować i czym będą się zajmować przez całe życie.

Wtedy jednak kompletnie mnie to nie obchodziło.

– Majaczenie wiąże się z ogromnym strachem. Halucynacje i koszmary sprawiają, że nie wiesz, kim jesteś i kim są otaczający cię ludzie. Tata może cię uznać za demona. Albo za synidiotę.

– Pocałuj mnie w dupę.

– Tutaj? Żeby ludzie zaczęli gadać, *mon ami*?

Milczałem. Po raz pierwszy dowcipy Scotta mnie nie śmieszyły. Przyglądał mi się uważnie zza kanciastych okularów ze szklami jak denka od butelek, które niedawno zaczął nosić. Z własnej woli. Żeby wyglądać jak kujon. „Bo to się podoba dziewczynom”, powtarza, jakby zapomniał, że Colet Court to męska szkoła.

– Kiedy go znowu odwiedzisz, Sam?

Wzruszyłem ramionami.

– Mama nie chce, żebym tam chodził.

Scott skubał trzy włoski na policzku. Daremnie próbował ostatnio wyhodować brodę.

– Nie może znieść tego, że go lubisz. Zazdrość. Mój tata ma to samo. Nie może ścierpieć, że mama mnie lubi. Pospolity problem wszystkich ojców po narodzinach pierwородnego syna – oznajmił pompatycznie.

Scott już wie, że chce studiować psychologię, od kiedy w wieku dziewięciu lat zaczął chodzić na wizyty do gabinetu psychoterapii w pobliżu kościoła Świętego Jana, tego z jedno-
roźcami w godle. Wybrał specjalność: psychoza i somatyzacje. Teraz obserwował grupkę starszych uczniów Saint Paul's, od których nie wymagano już noszenia mundurka, choć musieli

chodzić do szkoły w marynarce, wyprasowanej koszuli z krawatem i długich spodniach. Każdy uprzejmie przytrzymał drzwi tym, którzy szli za nim.

– Gdzie się wydarzył ten wypadek, Valentiner?

– Na moście Hammersmith – odparłem. – Wczoraj rano.

Nagle mnie oświeciło. Geniusze zazwyczaj potrzebują więcej czasu, żeby zrozumieć proste rzeczy. Jesteśmy kompletnie oderwani od rzeczywistości i dlatego czasem zachowujemy się idiotycznie.

– *Merde*, Valentiner. To tuż za rogiem. Do cholery, to tuż za rogiem! Twój tata wpadł pod samochód, kiedy... – Scott urwał.

Tak. To by oznaczało, że...

Szedł do mnie.

Przyszedłby.

Przyszedłby!

Szczyście płonęło we mnie jasno i mocno tylko przez chwilę, bo nagle poczucie winy poraziło mnie jak grom z jasnego nieba, który uderzył prosto w moją głowę.

Gdybym nie napisał do niego e-maila, nie przechodziłby przez most. Gdybym go nie zaprosił, nie leżałby teraz w szpitalu, bliski śmierci. Gdybym...

– Valentiner? – odezwał się Scott, ale ja nie mogłem wyduścić z siebie ani słowa. – Valentiner! Niezależnie od tego, co sobie teraz myślisz, zastanów się nad tym wszystkim jeszcze raz!

Pokazał mi swój smartfon, jakieś trzydzieści pięć razy droższy od mojego. Na ekranie zobaczyłem film nagrany z ręki telefonem komórkowym, umieszczony na YouTubie. Oprócz Scotta obejrzało go dwa i pół miliona innych ludzi. Nosił tytuł *Prawdziwy bohater*.

Pokazywał mężczyznę pływającego w Tamizie. Na zbliżeniu widać było niewyraźnie, że nurkuje i po chwili wynurza się z mokrym zawiniątkiem. Dopiero kiedy wyciągnął je na brzeg, okazało się, że to dziewczynka. Zaniósł ją na most

Hammersmith. Obraz się zachybotał, kiedy mężczyzna podszedł do obiektywu i zapytał: „Zająłeś się filmowaniem? Nie przyszło ci do głowy, żeby zadzwonić po pomoc?”.

Cztery sekundy później potrącił go samochód.

Film się urwał.

Ten mężczyzna to był mój ojciec.

– Twój tata jest zajebisty – skomentował lakonicznie Scott. – Pewnego dnia powinieneś mu to powiedzieć.

Słowa Scotta zmałyły szczęście, które tak nagle napełniło moje serce, kiedy zobaczyłem na ekranie swojego tatę. Tęsknota za tym, żeby opowiedzieć mojemu ojcu o sobie i porozmawiać z nim o tym, o czym skrycie myślę, zamieniła się w rozpacz, kiedy przypomniałem sobie człowieka nieruchomo leżącego na łóżku, z dala od rzeczywistości.

Powoli wyciągnąłem pozwolenie, którego mama nie chciała podpisać, i pokazałem Scottowi na mojej komórce zdjęcie jej karty kredytowej, na której odwrocie widnieje jej podpis. Rano udało mi się ją dyskretnie sfotografować. Na wszelki wypadek. Nie chciałem jej używać.

Do teraz. Póki nie zobaczyłem tego filmu.

– Dasz radę?

– Pff – prychnął Scott, wyciągnął mi z ręki komórkę i dokument, a potem wyjął długopis.

W południe wtarłem piach w oczy i powiedziałem madame Lupion, nauczycielce francuskiego, że dostałem alergii. Z czerwonymi, piekącymi i załzawionymi oczami pojechałem do szpitala. W drodze nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

W londyńskim metrze nikt nie rozmawia i nie przygląda się współpasażerom. Każdy zachowuje się tak, jakby był sam na świecie, nawet wtedy, kiedy wciska twarz w pachę osoby stojącej obok. Poza tym na stacjach i w pociągach

powietrze jest siedemdziesiąt trzy razy gorsze niż na powierzchni ziemi.

Nawet Sheila Walker nie zwróciła najmniejszej uwagi na moje oczy, które coraz bardziej mnie piekły.

W poczekalni przed salą intensywnej terapii doktor Saul przytwardzał do tablicy kartkę z informacją: „To klinika neurologiczna, a nie klub nocny, dlatego proszę w ciszy pić herbatę i nie rozmawiać”.

Próbuję przemknąć obok Boga niezauważony.

– Valentiner, stój. Co ci się stało w oczy? – warczy, nawet się nie odwracając.

Pieczołowicie i sprawnie przypina do tablicy ostatni rożek kartki. Ma silne ramiona, a jego palce nie drżą.

– Mam... alergię, sir.

– Ach tak? Ja też. Na kłamców, Valentiner.

– No może zatarłem sobie oczy... piaskiem – odpowiadam ostrożnie i na wszelki wypadek dodaję pokornie: – Sir.

Bóg odwraca się do mnie. Ma jedno oko niebieskie, a drugie zielone. Prawe, niebieskie, jest chłodne, a lewe, zielone jest ciepłe. Wiking z rudawą brodą ma dwa oblicza.

– Piaskiem. Aha. Wyglądasz, jakbyś spał w piaskownicy. Chcesz oślepnąć? Nie? Słyszałeś o neuronawigacji?

– Nie, sir – mówię niepewnie.

– No to chodź – mruczy Bóg.

Idę za nim piętro wyżej, do kabiny projekcyjnej aparatu do badania metodą rezonansu magnetycznego.

– Pozwól, że ci przedstawię nasze monstrum – mówi doktor Saul. – To skaner mierzący aktywność mózgu. Kosztował dwa miliony funtów i uważa się go za jedyną w Anglii maszynę do czytania myśli. Jest taki mądry, że właściwie go nie rozumiemy.

Pokazuje na krzesło.

– Siadaj. Odchyl głowę i zamknij oczy!

MIĘDZY ŻYCIEM I ŚMIERCIĄ ISTNIEJE ŚWIAT, KTÓREGO STĄD NIE WIDAĆ

Życie człowieka to suma wyborów.
Dokonuje ich w każdej sekundzie.
Ale czy wie, jakie naprawdę będą ich skutki?
Czy może sprawić, by zły wybór doprowadził
do szczęśliwego zakończenia?

Henri. Reporter wojenny. Żył w ciągłym zagrożeniu, jednak najbardziej przerażał go stały związek i założenie rodziny. Ratuje tonącą dziewczynkę, ale sam zapada w śpiączkę.

Eddie. Redaktorka w wydawnictwie. Kiedyś związana z Henrim. Jej ustabilizowane życie burzy informacja, że uczynił ją odpowiedzialną za podejmowanie wszystkich decyzji dotyczących jego leczenia.

Sam. Wyjątkowo inteligentny i wrażliwy trzynastolatek. Łatwo rozpoznaje uczucia innych, a emocje opisuje za pomocą kolorów. Marzy o tym, aby w końcu poznać ojca, którego losy śledził przez całe życie.

Przeszłość i teraźniejszość, rzeczywistość i marzenia, prawda i to, co się prawdą wydaje, splatają się w jedną historię. Ścieżki trójki bohaterów krzyżują się w krainie snów, gdzie zacierają się granice, a wspomnienia dają drugą szansę na życie.



NINA GEORGE

Niezależna dziennikarka i autorka ponad dwudziestu powieści. W Polsce do tej pory ukazały się *Lawendowy pokój* oraz *Księżyc nad Bretanią*. Obie stały się bestsellerami i podbiły serca polskich czytelników. Słowa Niny „Czytanie czyni zuchowałym” były mottem 19 Międzynarodowych Targów Książki w Krakowie. Autorka udziela się także jako krytyczka kulinarna. Uwielbia białe wino, koty, tai-chi i spacerować.

Cena detalu: 39,90 zł

ISBN 978-83-7515-405-4



www.otwarte.eu

E-book dostępny na

woblink.com



lubimyczytać.pl